
Artykuły recenzyjne

Marcin Kula

Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza

Historyk czyta socjologów (z pewnym trudem)

Fenomen Solidarności i zmiana ustroju. Polacy 1980–2011, red. Władysław Adamski

Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2014, ss. 544

Propozycję ustosunkowania się do tej książki przyjąłem jako swoją naturalną powinność. Tyle razy powtarzałem zdania o potrzebie zbliżenia historii i socjologii, usiłowałem i usiłuję promować socjologię historyczną... Więc gdy ukazała się książka, która niewątpliwie będzie funkcjonować jako wizytówka polskiej socjologii, a na dodatek poświęcona fragmentowi dziejów, którym historycy, w tym ja sam, się zajmowali, to wydawało mi się, że nie mogę odmówić. Książka budzi zresztą mój szacunek *a priori*. Wiele lat temu pierwsze wyniki badań z cyklu „Polacy...” zdobywałem z wysiłkiem i wspominam z sentymentem. Jeszcze mam te powielane tomiki w jakimś stosie. Nie były to wprawdzie druki podziemne, ale z pewnością sytuujące się poza establishmentem.

Drugim powodem mego szacunku dla książki oraz także, a może zwłaszcza, dla jej redaktora i całego zespołu autorskiego, jest fakt prowadzenia badań (jako porównywalnych!) przez trzydzieści lat i doprowadzenie do podsumowania, jakim jest recenzowany tom. Utrzymanie takiej ciągłości i doprowadzenie inicjatywy do przynajmniej okresowego finału jest w Polsce nad wyraz rzadkie. Doceniam też trudność utrzymania serii powtarzalnych i porównywalnych badań w okresie, kiedy tak silnie zmienia się rzeczywistość i niektóre pytania przestają być relewantne (por. s. 451, Staszyńska). Na przykład drogi uzyskiwania mieszkania tak się w międzyczasie zmieniły, że obecnie respondenci nie wskazują nawet tego dobra wśród najważniejszych życiowych spraw do załatwienia (s. 474, Staszyńska).

Trzecim powodem mego szacunku dla recenzowanej książki jest doprowadzenie przez redaktora i cały zespół do powstania dzieła zbiorowego spójnego, a nie zbioru rozpraw połączonego okładką. Czwartym – i zapewne nie ostatnim – jest solidność zreferowanych w tomie badań i podanie mnóstwa informacji o społeczeństwie polskim w jego niedawnej i współczesnej fazie.

Jednocześnie nie da się ukryć, że gdy czytałem te 544 (!) strony, a robiłem to porządnie, to prawie padłem i chciałem zrezygnować – zwłaszcza po pierwszych, metodologicznych partiach (w późniejszych rozdziałach, bardziej poświęconych konkretom, było już lepiej). Nie wątpię, że mamy do czynienia z pracą wybitną, ale jednak napisaną w stylu, który źle trawię. Uznaję, że to jest zapewne prawdziwa nauka. Są tam same wyliczenia, mądre wywody, wyliczone korelacje i bardziej skomplikowane wskaźniki... Przy lekturze nie ma się „tylko” poczucia dotknięcia spraw ludzkich, jak nieraz w książkach socjologicznych (może dawniejszych i mniej mądrych?). Socjologowie, którzy stworzyli tę książkę, zupełnie nie idą w kierunku narratywistycznym, w jakim z pożytkiem poszła część historiografii. Historyk nie jest przyzwyczajony do lektury tego typu.

Zwykle buntuję się przeciwko kanonom uprawiania historii, ale gdy widzę recenzowane dzieło, które ma szansę stać się wizytówką polskiej socjologii, czuję się historykiem podwójnie. Chyba rozeszliśmy się definitywnie, a ci, którzy chcieli budować mosty między dyscyplinami, mogą spuścić nos na kwintę (proponowane uogólnienie, aspirujące do nowej teorii: mieszańcy na ogół mają marny los, nawet jeśli czasem miewają sukcesy jako działający

oryginalnie). Ponieważ będę formułował uwagi z pozycji historyka, dla zabezpieczenia się deklaruje, że moją intencją nie jest zniszczenie autorów, co niestety zbyt często obserwuję w odnoszeniu się przedstawicieli jednej dyscypliny do innych. Uznaję, że nauka ma niejeden wymiar.

* * *

Nie pierwszy raz stwierdziłem, że jako historycy i socjologowie mamy odmienne obsesje. Jako historycy musimy przerobić „wszystkie” materiały. Nawet w odniesieniu do historii najnowszej naiwnie zmierzamy do odnalezienia wszystkich. Socjologowie – także autorzy tej książki – muszą nawiązać do teorii. Zwłaszcza lektura jej części początkowej sprawia wrażenie, że bardziej ich interesuje teoria, wobec której się sytuują, niż badane społeczeństwo. Każda dyscyplina ma taki rytualny wstęp, przypominający mycie rąk przed jedzeniem. Historycy muszą mówić o źródłach, podczas gdy socjologowie muszą nawiązać do teorii, najlepiej wysokiego lotu i sformułowanych przez znanych w świecie badaczy. Odnoszę wrażenie, że jest to dla nich ważniejsze nawet niż prowadzenie do uogólnień badanych casusów (czego sam chciałbym w ramach socjologii historycznej, tak jak ją rozumiem). Trudno być przeciw odnoszeniu się do istniejących teorii – ale cóż ja poradzę, że one wszystkiego nie mogą objąć. Jako historyk powiem, że czasem coś zachodzi bez wielkiego uzasadnienia. Nieraz pozostaje powiedzieć: stało się, bo się stało. Przypadki też odgrywają rolę w dziejach. Mogą zajść wydarzenia nieoczekiwane i choćby dlatego nie tłumaczące się, że zewnętrzne. Prawda, iż można się zastanawiać nad sytuacją, która stworzyła możliwość odegrania danej roli przez przypadek.

Teoria – zwłaszcza jedna – zawsze będzie bezsilna wobec całokształtu rzeczywistości. Autorzy mówią, że w dotychczasowych badaniach Solidarności można wyróżnić orientację „strukturalno-klasową” albo „pokoleniowo-kulturową”, czyli podejścia „wzajemnie się wykluczające” (s. 10, Adamski). Pozwolę sobie zadać pytanie: dlaczego miałyby się one wykluczać? Władysław Adamski deklaruje wprawdzie uznanie, że „ze skalą i złożonością fenomenu polskiej Solidarności nie jest w stanie samodzielnie zmierzyć się ani tradycyjna teoria »antagonistycznych interesów klasowych«, ani konkurencyjna wobec niej nowoczesna teoria »pokoleniowej rewolucji w kulturze«, której założenia mieszczą się w koncepcji »nowych ruchów społecznych«” (s. 12). Zaraz potem stwierdza jednak: „A zatem pytanie o to, które z przywołanych podejść badawczych będących przedmiotem sporu jest trafne, a które błędne – nie może być jednoznacznie rozstrzygnięte bez odwołania się do wyników badań empirycznych” (s. 12).

Komentując owo zdanie, chcę jednak powiedzieć, że nawet największe i najlepsze badania empiryczne nie muszą tego rozstrzygnąć, gdyż pewne aspekty zagadnienia może tłumaczyć jedna teoria, a inne druga. Przy wszystkich interesujących obserwacjach zawartych w koncepcie „nowych” ruchów społecznych nie da się podzielić ruchów społecznych w historii dychotomicznie na „stare” i „nowe”. Na moje wyczucie średniowieczne „święta głupców” i karnawaly, czy też – by wziąć przykład z innej epoki – ruch sufrażystek, miały wiele cech ruchów „nowych”, natomiast Solidarność była ruchem w jednych aspektach „starym”, wręcz klasowym w marksistowskim rozumieniu tego słowa, a w innych „nowym”. Cieszę się, że w dalszym wywodzie Władysław Adamski mimo wszystko stwierdza: „polskiego konfliktu »Sierpień ’80« i jego dalszych faz rozwojowych nie należy traktować ani jako konfliktu wyłącznie klasowego, ani też jako konfliktu o charakterze stricte pokoleniowym. Uprawnionym natomiast wydaje się przypuszczenie, iż krzyżowanie się podziałów według pozycji społeczno-zawodowych i przynależności pokoleniowej może się okazać najbardziej płodną metodą identyfikacji tych grup społecznych, którym przypada rola pierwszorzędna tak w generowaniu, jak i rozwoju sytuacji konfliktowej” (s. 94). Uff, miło, że w końcu z grubsza się zgodziliśmy.

* * *

Autorzy obracają się w kręgu badań, które przeprowadzili. W praktyce operują tylko ich wynikami i na nich budują swoje wnioski. Mają wprawdzie świadomość, że „należałoby wykorzystać nie tylko zbiory empirycznych badań surveyowych, ale także materiały jakościowe, odwołujące się zwłaszcza do pamiętników i kronik życia rodzinnego” (s. 34, Adamski, w kontekście badań kohorty młodych robotników i specjalistów), ale wykorzystania takich materiałów w ich książce prawie nie widać. Nie widać wykorzystania źródeł aktowych, istniejących przecież odnośnie do różnych, omawianych w książce spraw. Gdy jej autorzy nawiązują do biegu dziejów, czynią to na podstawie wiedzy ogólnej (jeśli nie przeoczyłem, nie czynią nawet jednego odwołania do dowolnej książki historycznej). Nie

biorą pod uwagę okoliczności, którym badania nie były poświęcone, a które też mogłyby rzucać światło na interesujące ich sprawy. Same wydarzenia i bardzo różnego rodzaju teksty również zaświadczały o ludzkich poglądach oraz ich ewolucji. Gdy wraz ze studentami przyglądałem się opiniom, którym dał wyraz ruch Solidarność, to analizowaliśmy głosy delegatów na posiedzeniach Komisji Krajowej. Pytaliśmy, jakie sprawy delegaci z regionów i małych ośrodków wnoszą na centralne obrady – bowiem one też wchodziły w treść protestu. Oczywiście, jest to typ materiału mający swoje słabości (każdy materiał je ma). Gdy analizujemy frustrację zachodzącą w społeczeństwie po przemianie, może byłoby warto pochylić się nad źródłami sukcesów Stanisława Tymińskiego. Rozumiem, że bardzo trudno jest analizować takie głosy i wydarzenia za pomocą statystyki, dyskusyjna jest ich reprezentatywność, są one często nieporównywalne wzajemnie itd. Niemniej jednak materiał innego typu niż badania opinii też wiele mówi. Gdy w refleksji nad wsią uczestniczka zespołu (Krystyna Łapińska-Tysza) sięgnęła do spraw niewynikających z ankiet, w tym do historii konfliktów na wsi, do tamtejszej tradycji i doświadczeń, a także do pamiętników, to rezultaty okazały się ciekawe.

Prawda, że autorzy lojalnie uprzedzają czytelników, na jakim materiale pracują – a wybór jest w końcu ich prawem. Jako historycy możemy ich ustalenia zweryfikować za pomocą źródeł częstszych w naszej dyscyplinie. W końcu najlepiej jest, gdy się do podobnych wniosków dochodzi na podstawie źródeł różnego typu i odmiennymi metodami – co czasem się zdarza. Sam na przykład o utracie wiary we własną sprawę w PZPR, odnotowanej przez Andrzeja Rycharda (s. 209), mówiłem swego czasu na podstawie zupełnie innych źródeł. Koledzy historycy też z innych źródeł zorientowali się, że po stanie wojennym, mimo całego poświęcenia działacze podziemia, ruch przestał być masowy; Okrągły Stół też nie odbywał się już pod naciskiem mas na ulicach (Andrzej Rychard pisze – s. 211 – o wzroście „sfery obojętności” wobec PZPR; por. także s. 213). Jako historycy możemy więc potraktować recenzowane badania jako jeden z typów materiałów i konfrontować je z innymi źródłami. Nikt nam tego nie broni, a każda dyscyplina może dostarczać danych do „ostatecznych” przemyśleń. Kłopot tylko w tym, że „syntetyzatorów” jest bardzo mało. Niewielka szansa, by znalazło się ich więcej, gdyż w przyjętej konwencji naukowej przekraczanie granic dyscyplin jest ryzykowne.

* * *

Będąc historykami, na ogół przeprowadzamy „krytykę źródeł” przed podjęciem analizy. Rozumiem, że autorzy badają poglądy ludzi w dniu i godzinie każdorazowego badania oraz ich ewolucję lub jej brak. Chętnie widziałbym jednak głębsze rozważenie uwarunkowania poglądów w komunizmie. To była bardzo skomplikowana sprawa. Nie mam na myśli jedynie propagandy, choć ta, wbrew częstym opiniom, też nie spływała jak z gęsi woda, a jej wchłanianie było zależne m.in. od momentu, od rozpatrywanej sytuacji oraz od spraw. Zaryzykuję twierdzenie (mój wkład do teorii – *sic!*), że w komunizmie opinia mocniej niż w ustrojach demokratycznych autonomizuje się w stosunku do rzeczywistości, mniej ewoluuje, staje się wręcz skamieliną. W fundamentalnej dla książki sprawie – pojęcia „oni” – myślenie ją przecież uprościło i zakonserwowało. Nie wzięto w nim pod uwagę, że przynajmniej początkowo grupa osób należących zarówno do Solidarności, jak i PZPR była liczna, a z czasem wielu członków straciło wiarę i wystąpiło z PZPR (o tym mowa w książce – s. 209, Rychard). PZPR, z racji samej swojej liczebności musiała w znacznym stopniu stawać się przekrojem społeczeństwa i jego poglądów.

W potocznym myśleniu nie wzięto pod uwagę rozsypywania się partii i aparatu państwa. Gen. Jaruzelski odwołał się do wojska m.in. dlatego, że na żadną inną strukturę nie mógł już liczyć. Andrzej Rychard zadaje pytanie o spójność poglądów na temat ładu politycznego, gdy z badań okazuje się, że ludzie są jednocześnie za silnym przywództwem, demokratyzacją ordynacji wyborczej, a jedynie w połowie za pluralizmem związkowym w zakładach (a propos 1988r., s. 214). Myślę, że taki zestaw odpowiedzi mógł rodzić się pod bardzo doraźnym wpływem ówczesnej sytuacji niż kształtować się na bazie głębokich przemyśleń. „W świadomości wielu Polaków ideał silnej władzy i demokracji wcale się nie wykluczają” (s. 215, Rychard). Otóż myślę, że to nasza sytuacja za komunizmu mogła leżeć u podłoża takiej niekonsekwencji. Jednocześnie komunizm pozwalał na ulgowe myślenie. Rychard pisze: „Moja interpretacja skłania się do twierdzenia, że postulaty demokratyczne były wyrazem raczej protestu nie tyle przeciwko centralizmowi w ogóle, ile przeciw centralizmowi, w którym partia komunistyczna sprawuje kierowniczą rolę. Według tego podejścia opowiadanie się za demokracją nie wyklucza innego typu rządów scentralizowanych i autokratycznych. W tym ujęciu postulaty demokratyczne byłyby do pewnego stopnia pozorne, gdyż stanowiłyby tylko sposób wyrażania dezaprobaty wobec konkretnej władzy” (s. 216). Widać na tym przykładzie, jak obiecujące byłoby dalsze zgłębienie uwarunkowań ówczesnego myślenia nas wszystkich.

W warunkach braku swobody wymiany myśli opinia kształtuje się ulomnie, nie widać, jaki procent ludzi myśli podobnie, co z jednej strony tworzy poczucie izolacji, a z drugiej mity. Opinia w komunizmie wyzwała się nieraz niespodziewanie. Często funkcjonujące pojęcie dwójmyślenia w kontekście socjalizmu nie jest adekwatne do sytuacji. Nie było tak, ażeby większość ludzi w domu i w pracy myślała i mówiła w pełni co innego. To bywało znacznie bardziej skomplikowane. Prawda, że autorzy biorą pod uwagę realne wchłonięcie różnych nominalnych hasel reżimu jako czynnik kształtujący poglądy (s. 51, Adamski za Kurczewskim, s. 86, 88, Adamski, Staszyńska).

W warunkach ograniczenia swobody różne działania ludzi nie zawsze świadczą o ich poglądach. Obserwacje o strukturalnym uwarunkowaniu przyłączania się do poszczególnych związków zawodowych należą do najciekawszych w książce – ale warto pamiętać, że decyzje nie w każdym wypadku musiały być podejmowane swobodnie. Już po delegalizacji Solidarności widziałem scenę, jak to osoba wglądająca na pracownicę działu kadr pytała w pewnej instytucji sprzątaczkę, czy już wstąpiła do nowych związków. Myślę, że owa sprzątaczkę szybko potem wstąpiła (prawda, że autorzy uwzględniają czynnik polityczny w zmianach struktur w ruchu związkowym – s. 123, Adamski). Jako ilustrację wcześniejszych czasów lubię przytaczać historyjkę, którą usłyszałem od młodego robotnika leżącego obok mnie w szpitalu. Gdy po raz pierwszy przyszedł do niego „sekretnarz” i zaproponował, żeby wstąpił do PZPR, powiedział, że jest wierzący. Gdy po raz drugi przyszedł sekretarz i powiedział, że to nie przeszkadza, to zareagował, że musi się namyśleć. Gdy po raz trzeci przyszedł sekretarz, mój rozmówca był już członkiem SD.

* * *

Badanie rzeczywistości za pomocą reprezentatywnych badań poglądów pozwala – przynajmniej w znaczącym stopniu – poznać opinię społeczeństwa na wybrany temat. Opinia szerokich grup ludzi, w tym „milczącej większości”, jest oczywiście zawsze bardzo ciekawa – choćby dlatego, że jest mało znana lub/i zmitologizowana. Kłopot tkwi tylko w tym, że – to uwaga historyka – czasem o biegu dziejów decydują węższe grupy aktywistów (awangardy), a tych z badań całości społeczeństwa metodą reprezentatywną nie poznamy. Jasne, że aktywiści też nie działają w próżni, kogoś wyrażają bądź też ktoś jest gotów przyjąć ich poglądy. Nawet największy dyktator czy najbardziej ekscentryczny, ale funkcjonujący kontestator mają pewne zaplecze. Co też ważne, owa „milcząca większość” nieraz wychodzi z milczenia i podejmuje działania, co może decydująco wpływać na sytuację. Niemniej jednak samo zbadanie poglądów większości nie musi jeszcze tłumaczyć biegu dziejów. Czy przeciętny, nie mówiąc o najczęstszym, stan nastrojów społeczeństwa polskiego usprawiedliwiał wystosowanie przez Zbigniewa Bujaka (a przynajmniej podpisanie przez niego) listu opublikowanego w nielegalnym „Tygodniku Mazowsze” z 31 maja 1984 r. w związku ze zbliżającymi się „wyborami” do rad narodowych? Brzmiał on:

„Myśmy już wybrali. Wybraliśmy Polskę – Ojczyznę ludzi wolnych, solidarnych, nie zastraszonych. Wybraliśmy nadzieję, że zbudujemy społeczeństwo sprawiedliwe, samorządne, dobrze gospodarujące, dbające o przyszłość swojej młodzieży, nie okradane i nie wyzyskiwane przez »swoich« i obcych. Wybraliśmy Krzyż – znak naszej wiary.

Chcą nas zmusić, żebyśmy wybrali ich nie kończące się rządy, strach i beznadziejność, nędzę i zniewolenie, złodziejstwo i kłamstwo. Chcą, żebyśmy wybrali pałkę zomowca – znak ich wiary i władzy. Wybraliśmy naszą odwagę i siłę, przed którą nieraz już musieli ustępować – oni chcą, żebyśmy wybrali naszą słabość, która stanie się ich siłą.

Nie pozwolimy się skłonić – ani ze strachu, ani dla ochłapu, którym będą nas kusić, ani dla świętego spokoju – do dania fałszywego świadectwa. Myśmy już wybrali”.

Odpowiedź na postawione pytanie jest bardzo trudna, nawet w sferze zaszłych faktów, już nie tylko badania opinii. 17 czerwca 1984 r. frekwencja oficjalnie wynosiła 72–78 proc. Według TKK w Krakowie wynosiła 38,2 proc., we Wrocławiu 40,3 proc., w Warszawie 57,4 proc., w Katowicach 57,7 proc. Według TKK władze zafalszowały frekwencję, zawyżając ją o 14–20 proc. Nawet przyjmując wersję solidarnościową, wskaźnik bojkotu jednak nie porażał. A przecież przyszłość należała do Zbigniewa Bujaka, nie do masy faktycznie biernych, nawet jeśli częściowo zapewne sympatyzujących z Solidarnością ludzi. Oczywiście autorzy mogą replikować, że ich interesują poglądy społeczeństwa jako pewnej całości i myślenie jego poszczególnych grup, a nie treści awangardy i nie wszechstronne uwarunkowania biegu dziejów, o poglądach samego Zbigniewa Bujaka nie mówiąc.

* * *

Jako historyk namawiałbym autorów do efektywniejszego uwzględnienia kontekstu instytucjonalnego i kulturowego analizowanej przemiany. Może ta sugestia jest zbędna. Autorzy nieraz formułują swe myśli w formie mocno uczonej i ogólnej, a zatem może obejmują też sprawy, których brak sam odczuwam. Zadają pytanie, czy w przebiegu konfliktu miały „walny udział – poprzedzające wybuch konfliktu – specyficzne dla Polski tendencje w rozwoju struktury społeczno-ekonomicznej i demograficznej oraz pozostające w relacji do tych struktur stany świadomości społecznej?” (s. 27, Adamski). Zadają również pytanie, „Jakie składniki podłoża historycznego decydowały o konfliktorodnej odrębności procesów socjalizacyjnych, kształtujących orientacje życiowe tych aktorów konfliktu, którzy ujawniają wspólne cechy ze względu na swe pokoleniowe bądź klasowo-warstwowe usytuowanie?” (s. 52, Adamski). Sam poszedłbym jednak szerzej, a także dalej wstecz w poszukiwaniu odpowiedzi.

Ciekawa jest autorska obserwacja: „interesy polityczne zależą bardziej od bliskości usytuowania jednostek wobec struktur władzy, mierzonej za pomocą takich wskaźników jak przynależność partyjna, związkowa czy też pełnienie funkcji kierowniczej, niż od podziałów stratyfikacyjnych. Spośród zmiennych stratyfikacyjnych istotne właściwości różnicujące wykazywało głównie wykształcenie” (s. 208, Rychard). Z tego płynie wniosek, że konflikt oddziela „funkcjonariuszy i dysponentów biurokracji państwowej od szerszych grup społecznych, niezajmujących stanowisk w strukturze władzy” (s. 208, Rychard). Nawet jeśli nie jest to pełne stanowisko autora (zaznacza, że poza główną linią konfliktu w wymiarze politycznym pojawiają się też linie konfliktu bardziej zróżnicowane), to taka obserwacja sugeruje, iż konflikt miał inną naturę niż konflikt klasowy w stylu opisanym przez Marksa, a prościej mówiąc – niż konflikt ekonomiczny. Nasuwa się jednak pytanie związane z charakterem ustroju komunistycznego: czy funkcjonariusze i dysponenti nie utożsamiali się w logice robotników z rolą właścicieli? Czy aparat nie wchodził w rolę marksowskiej klasy właścicieli? Nawet potocznie mówiono o tych ludziach „właściciele Polski Ludowej”. To, że byli oni nie tylko p.o. właścicieli, ale elementami aparatu władzy rozumianego znacznie szerzej, sprzyjało notabene rozwojowi buntu jako ruchu „totalnego” (Touraine) i narodowego, o czym niżej.

Można wskazać kolejne elementy kontekstu sytuacji mające wpływ zarówno na opinię ludzi, jak i na przebieg konfliktu. Są to np.:

- zmniejszenie represyjnego charakteru ustroju;
- ewolucja ustroju aż do implozji włącznie (czasem autorzy ją widzą i biorą pod uwagę – s. 71, 74, Rychard);
- bankructwo komunizmu, wyrażające się w zaproponowaniu nam małego fiata i coca coli jako szczęścia z jednej strony i niepowołaniu się na komunizm w grudniowym przemówieniu gen. Jaruzelskiego z drugiej;
- ewolucja charakteru PZPR i znacząca zmiana sylwetki jej członków w kierunku zbliżenia ich do przeciętnych narodowych;
- zmiana sylwetki aparatczyków jako z jednej strony zmniejszająca żywiołową nienawiść wobec nich, a z drugiej ułatwiająca atakowanie ich jako mimo wszystko „swoich”;
- skrywanie w takim ustroju pretensji, gromadzących się i wylewających w chwili wybuchu z wielką siłą z najbardziej nieoczekiwanych miejsc, na najróżniejszych poziomach i w najróżniejszych sprawach, na podobieństwo wylewania się ich z otwartych upustów;
- zastawiona przez sam ustrój na siebie pułapka, polegająca na tym, że w tym systemie żaden konflikt nie mógł pozostać konfliktem wycinkowym;
- podskórny, choć nie ujawniający się długofalowy niedostatek legitymizacji ustroju;
- zastarzała niechęć do ZSRR;
- nałożenie się konfliktów społecznych i ruchu narodowego;
- ewolucja faktycznego sposobu funkcjonowania ustroju przy jednoczesnym dopuszczeniu za Gierka do większej widoczności jaskrawych oznak bogacenia się aparatu na szczeblu dostrzegalnym przez ludzi nisko usytuowanych;
- stosunkowo powszechne zdefiniowanie rządzących jako wrogów religii i Kościoła;
- zakodowane w świadomości, znane z dawniejszych czasów wzory pożądanych zachowań;
- pamięć i doświadczenie poprzednich buntów;
- pamięć represji stalinowskich w starszych pokoleniach i jej brak w młodszych;
- rozwiązania instytucjonalne socjalizmu długo tłumiące ekspresję konfliktu i tym samym powodujące, że wybuchając, ma on duże szanse stać się ruchem „totalnym” lub – wolę takie określenie – wszechogarniającym.

- komunizm jako wynikający nie z „naturalnej” ewolucji, lecz z planu i świadomego zamiaru, obejmującego prawie wszystko. To też ułatwiało kontestację i przyczyniało się do wybuchu ruchu jako „totalnego”.

Obserwacja autorów, że ekspansja potrzeb i aspiracji poszła w kierunku postulatów dystrybucji środków i zasobów nagromadzonych przez państwo, a nie w kierunku wydajniejszej pracy i tworzenia nowych dóbr (s. 28, Adamski), także w kierunku zrzućcia odpowiedzialności za wszystko z siebie na partię/państwo (s. 61, Adamski), nie dziwi w komunizmie z uwagi na jego istotę (autorzy to widzą: s. 65, Rychard) i wygaszanie w ramach tej struktury wszelkiej inicjatywy sięgającej ponad sytuowanie się rodziny i przedsięwzięcia zupełnie drobne. Stadium „przedłużonej młodości” – tak przedłużonej, że aż znaczącej dla biegu konfliktu (s. 31, 94, Adamski) – w tym miejscu i czasie też było generowane przez komunizm, zarówno przez właściwe mu czynniki materialne, jak gerontokratyczny charakter ustroju (a dalszym pytaniem byłoby, dlaczego miał on właśnie taki charakter).

* * *

Jako historyk sugerowałbym autorom głębsze wzięcie pod uwagę mechanizmów zjawiska rewolucji. Nawiasem mówiąc, jeden z moich kolegów historyków na wiadomość, że ukazało się dzieło pod tytułem „Fenomen Solidarności”, zareagował słowami: „Co to za fenomen? Ot, zwykła rewolucja”. Nie wiem, czy konflikt, o którym mowa, miał postać „osobliwą, nie znajdującą historycznego precedensu” (s. 12, Adamski). Szczercze mówiąc, raczej w to wątpię. Daleko idące analogie z polskim buntem Solidarności nasuwały mi się, gdy pracowałem np. nad boliwijską rewolucją 1952 r., a elementy go przypominające widziałem w wielu epizodach, którymi się zajmowałem. Okoliczność, że Solidarność nie była całkiem i bez reszty wyjątkowa, jest istotna zwłaszcza w refleksji nad dynamiką procesu. Rewolucje wybuchają nie tylko w momentach – co znane – gdy sam system zaczyna się reformować, lecz gdy w ogóle okazuje się słaby. Aczkolwiek są oczywiście owocem poczucia podmiotowości, autonomii i siły zbuntowanych (s. 297, Adamski za Giddensem) – a w tym wypadku w szczególności „nowej klasy robotniczej” usytuowanej w strategicznych pozycjach, zaś jednocześnie współdziałającej ze sproletaryzowaną inteligencją (s. 303, Adamski) – to są nieraz wyzwalane przez intelektualnie prostsze czynniki. Teoria deprywacji w wypadku 1980 r. została zaostzona efektem zabrania nam wcześniej danego smacznego ciastka z talerza (to moja inwencja, którą zgłaszam do zbioru teorii socjologicznych). Radom 1976 był ważny nie tylko jako kolejny ciężar na szali gromadzącego się gniewu, ale też dlatego, że pokazał, iż na władzach można coś wymóc. W epoce mocnej i represyjnej władzy Sierpień byłby znacznie mniej prawdopodobny. Poczucie relatywnej deprywacji najczęściej silniej występuje w okresach wzrostu, gdy lepiej widać niesprawiedliwość dystrybucji.

W wielu procesach rewolucyjnych stwierdzaliśmy rozpędzanie się sił kontestujących podważany system i zwiększanie się zakresu kontestacji. W książce ta sprawa jest wspomniana. Została w niej wzięta pod uwagę hipoteza, która zakłada, że „proces racjonalizacji długotrwałego kryzysu przez podstawowe grupy pracownicze wyrażał się w odrzuceniu nie tylko polityki i praktyki podziału dóbr, ale także tych zasad systemu, które kojarzono z niską efektywnością gospodarki i instytucji życia społeczno-politycznego” (s. 295, Adamski). Można by jednak przeprowadzić w tym kierunku głębszą analizę. Istnieje coś takiego jak wewnętrzna logika rozwoju procesu (jego dynamika), którą napędzają nie tylko zmieniające się okoliczności zewnętrzne. Dziś już mało kto mówi, że rewolucja francuska radykalizowała się jedynie pod wpływem zagrożenia zewnętrznego, choć nikt nie neguje, że i ono mogło mieć znaczenie. Dla rewolucji bolszewickiej takie zagrożenie było oczywiście istotnym czynnikiem – ale tam też to nie był czynnik jedyny. Choćby w tych wypadkach rozwijał się proces, w ramach którego na przykład to, co na początku było niewyobrażalne, stawało się możliwe i pożądane do osiągnięcia w miarę zdobywania kolejnych punktów z jednej strony, a odsłaniania coraz większej liczby negatywów systemu (wpierw przesłoniętych) z drugiej. Działał efekt kuli śnieżowej. Zdobycie pierwszej transzei wyzwalalo chęć zdobycia dalszych i rodziło nadzieje możliwości dokonania tego.

Ruchy rewolucyjne bardzo często u początków podnoszą w gruncie rzeczy hasła samego kontestowanego systemu – wskazując je jako słuszne, tyle że nierealizowane. W miarę rozwoju procesu sprawy najróżniejsze, objęte wspólnym nazwaniem i wspólnym działaniem, nagle zaczynały być przez ludzi postrzegane jako mające wspólny mianownik. Tak notabene zadziałał swego czasu marksizm, który mnóstwu ludziom cierpiącym z różnych powodów wytłumaczył, że mają tylko jeden kłopot: ucisk ze strony kapitału. W wielu rewolucjach wyzwalaly się nadmiernie optymistyczne nadzieje, które nie mogły być spełnione nawet po najwspanialszym zwycięstwie. W recenzowanej książce bardzo ciekawie pokazano stopień frustracji/satysfakcji ludzi w okresie od upadku komunizmu aż

do dziś – z wnioskiem raczej optymistycznym. Niemniej jednak autorka stwierdziła też, iż najaktywniejsza w przemianie grupa robotnicza nie wyszła na niej najlepiej – a przypuszczam, że jej sytuacja jest poniżej oczekiwań („na zakończenie trzeba stwierdzić, że w świetle naszych analiz najbardziej poszkodowana w kwestii deprywacji aspiracji ekonomicznych wydaje się być generacja Solidarności, która zmianę systemową przygotowała” – s. 476, Staszyńska).

Bardzo ciekawe zarówno w ramach kontekstu instytucjonalnego referowanej przemiany, jak i w płaszczyźnie badania mechanizmu rewolucji byłoby przyjrzenie się rozumieniu i funkcjonowaniu pojęcia „normalności”. W moim przekonaniu ono nie ma dla badacza wartości analitycznej. Często jest natomiast, że w procesach rewolucyjnych ludzie dążą do przywrócenia „normalności”, zmierzają do „normalności” („trzeba postawić świat z powrotem z głowy na nogi”) itd. Otóż komunizm – w odróżnieniu od lepiej lub gorzej, ale od lat spontanicznie rozwijającego się kapitalizmu – nieraz bywał definiowany jako „nienormalny”. Pozostaje oczywiście pytanie, przez jak dużą część społeczeństwa był tak traktowany, z jakim nasileniem, w jakich okresach ze szczególnym naciskiem. Zaryzykuje też domniemanie, że pretensje związane z uznawaną za niesprawiedliwą dystrybucją dóbr były w rozważanym procesie tym silniejsze, że wyższego usytuowania wielu grup nie uznawano za „naturalne” (inaczej niż najczęściej na Zachodzie). Charakterystyczne, że w mniejszym stopniu kwestionowano pozycję dyrektorów zakładów niż sekretarzy PZPR (s. 67, Rychard). To, że każda fabryka ma dyrektora, uznawano zapewne za naturalne, a to, czy jest on lepszy, czy gorszy, było zupełnie inną sprawą.

* * *

W zakończeniu recenzji można wobec omawianej książki zadać fundamentalne pytanie: co nowego ona wnosi? Odpowiedź jest oczywiście subiektywna, a z braku czasu (i umiejętności) nie zdołałem przeprowadzić badań opinii opartych na reprezentatywnej próbie zainteresowanych historyków i socjologów. Uznam się więc sam za taką próbę, choć brak możliwości policzenia moich opinii, opracowania współczynników ich wewnętrznej zgodności itd. zmniejszy wagę moich poglądów (*sic!*). Za wielki wkład autorów uważam dostarczenie całościowego obrazu badanego zjawiska, zarówno w wymiarze treści, jak chronologii. Ta książka pozostanie na długo dziełem referencyjnym. Nie jest dziwne jednak, że niektóre wnioski, choć uzyskane bardzo przemyślnymi metodami, zdają się potwierdzać opinie zdroworozsądkowe bądź uzyskane metodami innymi, w tym mniej precyzyjnymi. Wrażenie takie nasuwa mi się na przykład wobec następujących wniosków:

- egalitarystyczne postawy robotników, a mniej egalitarystyczne specjalistów z wyższym wykształceniem, rolników i techników (s. 202, Kolarska-Bobińska);
- nadreprezentacja osób starszego pokolenia, funkcyjnych oraz członków PZPR w związkach zawodowych tworzonych w latach osiemdziesiątych;
- współzależność bojkotu referendum z 1987 r. z solidarnościowym rodowodem potencjalnych uczestników (s. 124–125, 129, Adamski);
- Kościół jako instytucja z innego porządku – i to do tego stopnia, że „pytania o publiczną rolę Kościoła wykazują bardzo nikle związki z innymi pytaniami politycznymi” (s. 215, Rychard);
- przynależność do PZPR, związków branżowych czy nowych związków jako wiążąca się z akceptacją postulatów umocnienia, a przynajmniej utrzymania władzy tej partii (odniesione do 1988 r., s. 219, Rychard; s. 295, Adamski za Rychardem);
- postulat legalizacji opozycji jako silniej popierany przez osoby z wyższym wykształceniem (s. 220, Rychard);
- kryteria merytoryczne zaznaczają się jako ważniejsze w przyznawaniu wysokiego prestiżu ludzi pracy umysłowej, zaś kryteria wartościowania ideologiczno-politycznego jako uznawane za ważniejsze przy ocenie prestiżu ludzi władzy i ludzi interesu (s. 251, Adamski). Przynajmniej w odniesieniu do pracowników umysłowych i do ludzi władzy to nie zaskakuje ani w odniesieniu do PRL, ani do czasów dzisiejszych;
- profil jednostki skłonnej do autorytaryzmu i jego współwystępowanie z myśleniem konserwatywnym oraz rygoryzmem prawnym (s. 273, Koralewicz) nie zaskakuje. Nie dziwi też, że „bardziej autorytarne są osoby niżej wykształcone, zamieszkujące na wsi, starsze wiekiem, należące do partii lub nowych związków zawodowych, nie będące członkami Solidarności, a zrzeszone w związkach branżowych” (s. 281, Koralewicz).

Prawda, że wszystkie te obserwacje jako udowodnione w badaniu stają się ważniejsze niż jako zdroworozsądkowe. Nadto mogą być przyjemne – jak na przykład płynące z różnych fragmentów wywodów wnioski czy wrażenie, że dobór członków Solidarności był doбором *in plus* z punktu widzenia rozlicznych kryteriów.

Wyczytałem też w recenzowanym dziele wnioski, które przynajmniej dla mnie były nowe:

- charakterystykę społecznych korelatów nielegitymizowania przywilejów w PRL, także szkoły, jaką była w tym zakresie przynależność do Solidarności (s. 162–164, Wnuk-Lipiński) – choć żałuję, że w ich analizie nie wzięto pod uwagę także doświadczeń dawniejszych i głęboko zakodowanych schematów myślenia;
- ciekawa była dla mnie obserwacja o instrumentalnym charakterze hasel egalitarystycznych („W warunkach drastycznego ograniczenia praw rynku podstawowym instrumentem dystrybucji dóbr stały się decyzje systemu politycznego. Posługiwały się one kryteriami, które postrzegane były jako niesprawiedliwe, bo różniujące ludzi według innych względów niż merytoryczne. Wiele osób kwestionowało różnice, bo tworzyły je państwowe i partyjne mechanizmy podziału. Dążenie do egalitaryzmu stanowiło więc formę obrony przed stosowaniem pozamerytorycznych kryteriów oceny i nagradzania pracy. Mogło ono jednocześnie wyrażać akceptację dla istnienia takich różnic, które byłyby dokonywane według kryteriów uznawanych za sprawiedliwe” (s. 189, Kolarska-Bobińska);
- jako ciekawe odebrałem uwagi o zmianach liczbowych zwolenników autorytaryzmu – w kierunku pewnego zmniejszenia z biegiem lat, zwłaszcza zmniejszenia procentu osób gotowych do bezkrytycznego posłuszeństwa wobec zwierzchników, czemu niestety towarzyszył jednak wzrost autorytarnego myślenia o dzieciach (s. 274, Koralewicz);
- bardzo ciekawa była dla mnie uwaga o roli przynależności i działania w Solidarności dla osób z niższym wykształceniem w zmniejszeniu ich skłonności do autorytaryzmu (s. 281, Koralewicz). Dotyczy to robotników, wśród których w gronie działających w Solidarności nastąpił też wzrost pewności siebie. Był to proces odmienny od zachodzącego wśród inteligencji („wśród inteligencji uwikłanie w sytuację konfliktu łączy się z wyraźnym poczuciem bezsilności i niepokoju, co równocześnie powoduje relatywny wzrost poziomu autorytaryzmu w tej grupie społecznej” (296, Adamski za Koralewicz);
- za ważną uważam parokrotnie pojawiającą się w książce obserwację, że Solidarność była pozytywną szkołą dla wielu z nas. Dziś nie odgrywa ona porównywalnej roli. Niemniej jednak zaliczenie bądź nie (choćby ze względu na datę urodzenia) tamtego doświadczenia wciąż w jakimś stopniu waży na postawach ludzi.

W ustaleniach autorów zaskakuje wprawdzie „bardzo wyraźny spadek tendencji do postrzegania społeczeństwa polskiego jako skonfliktowanego” (s. 433, Zagórski), ale nie zaskakuje, że w roku 2000 „konflikt pomiędzy nosicielami tradycji Solidarności a »postkomunistami« postrzegany był jako bardzo silny przez prawie połowę Polaków, podobnie jak konflikt pomiędzy lewicą a prawicą” (s. 433, Zagórski). Ciekawe, że obecnie według autorów „różnice faz cyklu życia mają większe znaczenie dla sytuacji materialnej Polaków niż różnice doświadczeń historycznych” (s. 476, Staszyńska). Czy znaczyłoby to, że pewna epoka jest zakończona?

Autorzy zastanawiają się, jakie grupy wiekowe stały się beneficjentami przemian. Otóż najlepiej wychodzą na niej młodzi, którzy „dorosłość osiągnęli już po zmianie ustroju, w czasie postępujących przemian ustroju politycznego i ekonomicznego oraz konsolidacji nowego systemu” (s. 445, Zagórski) – ale też wszyscy nie wychodzimy źle (s. 461, Staszyńska). Muszę powiedzieć, że ucieszyłem się, gdy przeczytałem tę opinię; jest mi teraz zdecydowanie milej funkcjonować w otaczającym świecie. Nie zadam już pytania, czy wszystkie szanse wykorzystano w przemianie. Powiedzmy sobie zresztą, że tak nigdy nie jest. Nie wspomnę też, że stwierdzone obcinanie wydatków na wypoczynek i kulturę przez ludzi w sytuacjach awaryjnych, przy zasadniczym dawaniu sobie rady w kwestii żywności (s. 465, Staszyńska), chyba potwierdza, iż społeczeństwo jest wciąż relatywnie ubogie (duża rola wydatków na żywność, mała nadwyżka). Może jednak, jeśli autorzy poprowadzą swe badania przez kolejne trzydzieści lat, uzyskają obraz, w myśl którego ludziom będzie już starczać zarówno na chleb, jak na igrzyska. Oby!